Rok IV. Kraków, wrzesień 1930. Nr. 1.

BŁYSKI

PISEMKO
UCZENIC PRYW. SEM. NAUCZ. ŻEŃSKIEGO T. S. L.
im. Fr. PREISENDANZA W KRAKOWIE.

Z kolonji wakacyjnej.

Od lat kilku zakład nasz urządza w miesiącach letnich kolonje wypoczynkowe dla uczennic, które bądź nie mają możności opuszczenia dusznych murów miejskich na czas wakacyj, bądź ze względu na stan zdrowia i sił potrzebują prawdziwego spokoju i wytchnienia.

W tym roku nasz pan Dyrektor, zawsze z ojcowską troskliwością opiekujący się kolonją—otworzył jej podwoje swego rodzinnego domu, przeznaczając na pomieszczenie kolonistek — willę w Porębie, dotychczas zamieszkiwaną przez przedwcześnie zgasłego ś. p. Władysława Orkana.

Zupełny spokój, prześliczne położenie domu, zbudowanego wysoko na uboczu u stóp Gorców, rozległy widok na wzgórza okoliczne, kryształowo przejrzyste powietrze przesycone wonią otaczających osadę lasów szpilkowych—wszystko to złożyło się na warunki, k óre dla kolonji naszej okazały się idealne. — Trzydzieści uczennic po ośmiotygodniowym pobycie w Porębie wróciły zdrowe, silne i wesołe. Teraz z nowym zapałem zabierają się do nauki. aby wytrwałością w pracy i dobremi jej wynikami okazać najlepiej wdzięczność swemu drogiemu i kochanemu Panu Dyrektorowi.

Wycieczka na Turbaczyk.

Nareszcie marzenie nasze się spełniło — Pani zapowiedziała nam, że pójdziemy na Turbaczyk. Położyłyśmy się do łóżek wcześniej i wkrótce posnęłyśmy, rojąc błogie sny o wycieczce, która miała się odbyć nazajutrz, wczesnym rankiem. Już o 5-tej rano zerwałyśmy się na równe nogi i ochoczo zaczęłyśmy przygotowywać się do drogi. Niejednej żal było ciepłego łóżeczka, ale wobec wokół panującego ruchu i gwaru, największe śpiochy, zawstydzone, prędko się ubrały. Zaopatrzywszy się w zapasy żywności i jaki—taki kostur dla większej pewności, opuściłyśmy naszą kochaną Orkanówkę. Większe zuchy, ufne w swe siły, ciągle rwały się naprzód, wyprzedzając koleżanki słabsze lub okazalszej tuszy, które, sapiąc i często odpoczywając—ale mimo wszystko—nadrabiając miną, z wysiłkiem pięły się w górę.

Prześliczna droga, wijąca się wśród lasów, zaprowadziła nas na wzgórze — Basidkę—gdzie zatrzymałyśmy się na krótki odpoczynek i pożegnałyśmy Orkanówkę, spoczywającą w mgłach u naszych stóp. Po chwili ruszyłyśmy żwawo dalej, pocieszane przez księdza wikarego, naszego przewodnika, że cel wycieczki już niedaleki. Rzeczywiście, nawet nie spostrzegłszy się kiedy, znalazłyśmy się na Turbaczyku i nie czując już żadnego zmęczenia, weszłyśmy na najwyższe wzniesienie góry.

Tu, przy ognisku, zrobiłyśmy dłuższy popas, z wilczym apetytem pochłaniając zapasy, w które nas zaopatrzyła troskliwie pani gospodyni i popijając pyszną herbatę, sporządzoną przez nasze sprawne harcerki.

Po odpoczynku i należytym posiłku jedne z nas zaczęły się bawić, śpiewając wesoło, inne zaś, nie mogąc oczu oderwać od roztaczającego się widoku, siedziały w milczeniu, podziwiając wspaniałą panoramę gór pokrytych borami i tonących w prześwietlonej słońcem mgle...

Na Turbaczyku po raz pierwszy miałyśmy sposobność zapoznać się z warunkami, w jakich żyją juhasi, wypasający owce. Kiedy chciałyśmy zbliżyć się do jednego z nich, skrył się co prędzej do szałasu. Wskutek samotności i zupełnego braku towarzystwa, musiała się w nim wyrobić nieufność do ludzi. Dopiero na widok chleba przez nas ofiarowanego, wyszedł, przyjął od nas chleb i z taką chciwością jadł, żeśmy mogły zdać sobie sprawę, jaki głód musi temu biednemu pasterzowi dokuczać! Próbowałyśmy porozmawiać z nim — ale dziwnie ta rozmowa nie szła. W takiem pustkowiu człowiek mowy zapomina! Długo nie mogłyśmy otrząsnąć się z wrażenia po tem spotkaniu...

Spędziłyśmy jeszcze parę godzin na Turbaczyku, poczem na dane hasło zabrałyśmy się do odwrotu. Wstąpiłyśmy po drodze do bacy, który nas poczęstował żętycą—i zaopatrzone w serki owcze ruszyłyśmy dalej. Ze śpiewem na ustach, pełne radości i wrażeń, wróciłyśmy po zachodzie słońca do Orkanówki.

Helena Zbrońcówna V. kurs.

Wycieczka na Turbacz.

W piękny ranek sierpniowy wyruszyłyśmy z uroczej Orkanówki na Turbacz. Wycieczka zapowiadała się pomyślnie, — niebo było bez chmurki czyste jak perła. Z poza okolicznych szczytów wypłynęła ognista kula słońca, rzucając na świat ciepłe i jasne promienie. Góry mieniły się purpurą i szmaragdem i tworzyły obraz tak piękny, że nie wiem, czy najwprawniejsza ręka malarza potrafiłaby go odtworzyć!

Wesoło ruszyłyśmy w drogę. Z początku szłyśmy pośród łanów zboża w dół ku dolinie, w której rozłożyła się wieś Potasznia. Wieś ta ciągnie się wzdłuż drogi, wciśnięta pomiędzy Gorce z jednej strony, a szereg wzgórz biegnących aż do Mostownicy — z drugiej. Gdyśmy doszły do Mostownicy—zaczęło się wspinanie pod górę! Droga wiodła przez przepiękny las—częściowo szpilkowy, a po części liściasty, który zupełnie zasłaniał widok na okolicę. Dopiero kiedyśmy po dobrym marszu i kilkakrotnych krótkich wypoczynkach dosięgły wierzchołka góry—stanęłyśmy oniemiałe! Przed nami roztaczał się widok czarowny na cały łańcuch Gorców skąpanych w powodzi światła. Lasy, pokrywające wzgórza bliższe i dalsze, mieniły się wszelkiemi odcieniami zieleni, od jasnego seledynu do czarnego prawie granatu. Na polanach tu i ówdzie pasące się stada owiec dodawały jeszcze całemu obrazowi uroku. Widok był tak piękny, jak tylko wyobrazić sobie można, bo opisać trudno!

Dalej grzbietem Mostownicy posuwałyśmy się ku Turbaczowi. Po paru godzinach drogi zatrzymałyśmy się na polanie pod Turbaczem. Zgłodniałe, rzuciłyśmy się na nasze zapasy z takim zapałem, że zjadłyśmy wszystko, co było na cały dzień dla nas przeznaczone. Po sowitym posiłku zaczęłyśmy się bawić, zjeżdżając na gałęziach z góry; polana pozbawiona drzew, a porośnięta trawą, doskonale się do tego nadawała. Zjeżdżać było znakomicie, gorzej natomiast piąć się pod

górę. — Wreszcie ruszyłyśmy na właściwy szczyt Turbacza. Turbacz stoi wpośród Gorców, niby stary gazda przygarbiony wiekami i rządzi otaczającemi szczytami, które, jak dzieci, ku niemu się garną. Czoło Turbacza jest łyse, oprócz krzaków nie znajdziesz tam więcej nic. O łysym Turbaczu górale śpiewają piosenki, z których jedna tak się zaczyna:

Oj! Turbacu, Turbacu,
Cózes tak osowioł?
Cy cię descyk skropił,
Cy cię wiater powioł?

Ze szczytu góry widzieć mogłyśmy olbrzymi szmat pięknej ziemi naszej. U stóp Turbacza ciągnie się dolina nowotarska, poprzeżynana wężowatą kotliną Białego Dunajca. W dali piętrzą się groźnie Pieniny ze szczytami: Sokolica i Trzy Korony na horyzoncie stoi na straży łańcuch Tatr z Giewontem na czele. Gdyby nie wysokie czoło Turbacza, z Giewontu możnaby było widzieć kopiec Kościuszki! W stronie południowo-zachodniej widziałyśmy wyraźnie Babią Górę, słusznie noszącą miano „Królowej Beskidu". W długim szeregu wierchów Beskidu Zachodniego ona wybija się wysokością ponad wszystkie.

Z żalem zeszłyśmy z Turbacza, kierując się w drodze powrotnej na Turbaczyk. Zdaleka jeszcze oglądałyśmy się, żegnając stary Turbacz, który tyle już przeżył i tyle widział. Szkoda, że mówić nie może!...

Z wielką ochotą pozostałybyśmy w górach dłużej, czułyśmy, jak budziło się w nas jakieś nowe, piękne życie wśród otaczających nas cudów przyrody—ale trudno, wracać było trzeba. Przez kilka dni śniłyśmy o Turbaczu, a wyobraźnia nasza snuła długie bajki o starym Turbaczu i otaczających go szczytach. Teraz w mieście myślą często wracamy do tego roskosznego dnia z naszych wakacji spędzonych w Orkanówce.

E. Wronarowiczówna kurs IV.

Z pobytu w Danji.

Od dawna marzyłam o pracy wśród emigracji, to też kiedy Min. W. R. i O. P. ogłosiło że potrzeba dwu nauczycielek do Danji, pierwsza się zgłosiłam i ku mej wielkiej radości, zupełnie nieoczekiwanie, gdyż o podaniu przed 9 ma miesiącami złożonem zapomniałam,

dostałam nominację na nauczycielkę przy szkolnictwie polskiem w Danji. Z wyrobieniem bezpłatnego paszportu nie miałam najmniejszych trudności i' dnia 7/IX, po 18 godzinnej podróży, via Berlin. Warnemünde, M. Bałtyckie znalazłam się w Kopenhadze. Muszę tu nadmienić, że M. Bałtyckie przejechałam w wagonie kolejowym, gdyż pociąg przetoczono na olbrzymi okręt, w rodzaju promu, na którym oprócz mego pociągu zmieściło się jeszcze kilka wagonów ciężarowych, kilkanaście aut i moc ludzi.

Jadąc do Danji, wyobrażałam sobie że dostałam przydział do jednej ze szkoł, tymczasem przyjechawszy tam, zastałam szkolnictwo polskie dopiero w stanie organizowania się. W Kopenhadze przygotowano dopiero lokal szkolny, i nauka rozpocząć się miała najwcześniej w październiku. Że jednak organizatorka szkolnictwa polskiego w Danji p. Dobrowolska, jeszcze z końcem zeszłego roku otworzyła szkółkę polską w Niwaa (czyt. Niwo), wiosce oddalonej od Kopenhagi o 11 stacyj kolejowych, narazie więc we wrześniu zaczęłam naukę w tej właśnie wiosce W Niwaa i w okolicy mieszka 40 rodzin polskich robotników rolnych, których 30 dzieci zapisało się do szkoły polskiej.

Wszystkie dzieci uczęszczały obowiązkowo do duńskiej szkoły, o 5 km. oddalonej od kolonji polskiej, a ponieważ w szkołach duńskich panuje system, propagowany obecnie u nas przez niektóre osoby, że każda klasa ma w tygodniu dwa dni wolnego, więc w te właśnie wolne dni, przychodziła dana klasa do szkoły polskiej. W październiku zaczęłam także naukę w Kopenhadze, gdzie zapisało się 20 dzieci. W Niwaa nauka odbywała się 2 razy od 9 tej do wpół do trzeciej i raz od 11 tej do 5 tej, zaś w Kopenhadze 5 razy na tydzień od 6-8 mej. W Kopenhadze cięższą miałam pracę, gdyż dzieci tamtejszych Polaków, wprawdzie w większej części rozumieją, ale nie umieją mówić po polsku, w domu z rodzicami i między sobą rozmawiają tylko po duńsku i poprostu wstydzą się mówić po polsku, bo mowa polska nie jest „fein", natomiast duńska i niemiecka bardzo im się podoba. Wogóle wynaradawiają się szybko—niestety, ogólna wada Polaków, niby to czytają gazety polskie, rozmawiają po polsku, zeszedłszy się razem, z uwielbieniem i zapałem mówią o Polsce i Marszałku Józefie Piłsudskim, a przecież każdy prawie w tajemnicy przed innemi stara się o obywatelstwo duńskie, a niektórzy nawet zmieniają swe nazwizka, niby to dla łatwiejszego wymawiania n. p Tomaszewski na Tomsen.

Ale wracam do szkoły—Oprócz szkółki w Niwaa i Kopenhadze miałam kurs dla dorosłych, którzy ukończyli już duńską szkołę powszechną, a chcieli się nauczyć czytać i pisać po polsku.

Ciężko napracowałam się w tej Danji. O 8-mej wyjazd do Niwaa i od 9 do wpół do trzeciej nauka w tamtej szkółce. O 5 tej byłam w Kopenhadze, jadłam obiad i od 6-8 mej nauka w kopenhaskiej szkole, potem jeszcze 3 razy na tydzień kurs dla dorosłych od 8-10 tej.

Oprócz pracy szkolnej miałam też i pracę społeczną. Byłam skarbnikiem i sekretarzem Związku Robotników Polskich w Kopenhadze i choć tytularnie kto inny te godności piastował cała praca ztem związana na mnie spoczywała. W lokalu Związku, znajdującym się obok sali szkolnej była też czytelnia, do której codziennie musiałam świeże dzienniki z Konsulatu polskiego przynosić. Była też tam również i bibljoteka, której byłam bibljotekarką.

Emigranci chętnie czytali książki, niestety było ich tylko z 30, dopiero w listopadzie przysłało nam seminarjum naucz. żeńskie z Inowrocławia sporo podręczników szkolnych i kilkanaście książek do czytania.

Żeby to choć niedziele były wolne.— W dwie niedziele musiałam jechać do Niwaa na kurs dla analfabetów, gdzie mi się najprzyjemniej pracowało, gdyż robotnicy bardzo chętnie się uczyli. W jedną niedzielę było zebranie dla robotników w lokalu Związku, więc jako gospodyni musiałam na niem być. Zaledwie jedna niedziela zostawała dla mnie, a i wtedy nawet już o 5 tej musiałam być w domu, gdyż Polacy przychodzili do bibljoteki, albo do czytelni.

To też nie mogłam podołać temu ogromowi pracy i po 4 miesiącach wróciłam na dawną moją posadę, na Śląsk.

Mając tak mało czasu, nie mogłam też zobaczyć wszystkiego, co jest godnego do zwiedzenia w Kopenhadze. Zdążyłam tylko zwiedzić prześliczne muzeum Thornwaldsena, Gliptotekę, gdzie zebrane są prześliczne dzieła sztuki, przeważnie z wykopalisk greckich i rzymskich i gdzie wewnątrz znajduje się wspaniała palmiarnia.

Zwiedziłam jeszcze 3 inne muzea, a tyle wszędzie prześlicznych dzieł sztuki, że wprost oderwać się od nich nie można i kilka godzin poświęcić trzeba na zwiedzenie jednego muzeum. Byłam też zobaczyć kilka kościołów protestanckich naturalnie, bo w całej Kopenhadze zaledwie 3, albo 4 kościoły katolickie się znajdują. Polskiego księdza niema w Danji ani jednego; (Zwiedz.) Widziałam też porty: zwyczajny i wojenny, oczywiście, że ten ostatni tylko zdaleka.

Kopenhaga jest ślicznem miastem. Ze swego średniowiecznego charakteru przypomina Gdańsk, jest dużo ładniejsza.

Niektórzy nazywają ją „Wenecją północy“, gdyż tak, jak w Wenecji głęboko kanały morskie wrzynają się daleko w miasto, któremi na łodziach za 10 re t. j. 24 gr. można kilka kilometrów morzem, z jednej dzielnicy do drugiej przejechać. Obok wąskich ulic są szerokie, wygodne, obok średniowiecznych domów, jedno, dwu, trzyokiennych są wspaniałe nowoczesne gmachy. A posągów kolumn, wodotrysków wszędzie pełne-pomniki przeważnie dłuta Thornwaldsena. A co za wspaniałe wystawy sklepowe ładniejsze, niż w Berlinie. Szczególnie podziwu godne jest kilka sklepów, każdy mniewięcej wielkości krakowskiej P. K. O. na 4-5, pięter wysoki, w których od ziemi do strychu są same sklepy ze ślicznemi wystawami. Wszedłszy do takiego sklepu, można się w nim zaopatrzyć we wszystko, czego tylko dusza zapragnie. A jakie wspaniałe urządzenia—automatyczne schody (t. zn. stojąc na pierwszym stopniu, nie ruszając się zupełnie w jednej chwili można przenieść się na którebądź piętro), dzwignie, kwiatów i palm wszędzie pełno, a na najwyższem piętrze restauracja i sala balowa, z ogromnym w pośrodku basenem, w którym złote rybki pływają. Wszedłszy do takiego domu, ma się wrażenie jakiegoś zaczarowanego zamku.

Co mię przedewszystkiem uderzyło w Danji, to uczciwość Duńczyków i niespotykane u nas poszanowanie cudzej własności. Wprost wierzyć się nie chce, że w tym kraju niema złodziei i gdybym się sama o tem nie przekonała, nie uwierzyłabym, gyby mi kto opowiadał. Podam tylko kilka przykładów; Kupcy nietylko umieszczają swoje towary w oknach wystawowych, ale i na polu przed sklepem, wieszają je na ścianie, lub układają na ziemi i choć nikt przy tem nie stoi, nie zdarza się by coś zginęło. Albo, w sklepach z ubraniami, przed sklepem na długim drągu wiszą ubrania, każdy się o nie obija, gdyż chodnik jest wąski, a nikt nic nie weźmie. Albo mleczarz rozwożący mleko po domach nie nosi go do mieszkania, ale stawia go przy wiodącej do danego domu i jedzie dalej a nie słyszałam by kiedy jeden drugiemu zabrał mleko. Danja jest krajem rowerów—do pracy, sklepu, urzędu, szkoły, lub kościoła, jadą na rowerach i to jadą nietylko ludzie dorośli, ale dzieci, siwi starcy i staruszki, a nawet czego u nas się nie spotyka, oficerowie, księża i zakonnice. Otóż każdy przyjechawszy na miejsce przeznaczenia, zostawia swój rower na ulicy, oparty o bruk na Bożej Opatrzności, nie troszcząc się o niego zupełnie, wieczorem zastaje go na swojem miejscu, i prawie nigdy nie zdarza się by ktoś komuś rower ściągnął. Idąc ulicami Kopenhagi widzi się sznur rowerów, na każdej ulicy, opartych o trotoar, których nikt nie pilnuje. Niechby kto u nas rower zostawił na ulicy... Zna-

miennem w Danji jest to, prawie nigdy nie zamykają domów i że tam nigdy żebracy nie chodzą po domach. Byłam tylko wprawdzie w Danji 4 miesiące, ale przez cały ten czas, nie widziałam nigdzie ani jednego żebraka. Dom, w którym mieściła się szkółka w Niwaa, stał przy drodze, gospodarz z żoną pracowali cały dzień „na pańskiem“ w południe tylko przychodzą zjeść rano przygotowany obiad i znów wracają do pracy zostawiając dom na Boskiej opiece niezamknięty i nigdy nikt tam niepowołany nie wejdzie.

Wogóle w dziennikach duńskich niema tych tak powszechnych w naszych gazetach rubryk. Co? Jak? Komu? Gdzie? i jakąbądź kradzież wywołuje nielada senzację.

Co do tego, to niestety Polacy mają w Danji opinję złodziei, a opinję tę wyrobili nam żydzi z królestwa, których dosyć sporo uciekło przed wojną i bolszewikami do Danji, a nie mając z czego żyć, kradli po targach i straganiach,—bo duńscy przekupnie, czy przekupki, nie stoją ciągle przy swych straganach, ale odchodzą do sklepu, restauracji zostawiając swój stragan na ulicy, z czego korzystały nasze żydki i ściągały towar, a przytrzymany przez policję i zapytani skąd są, odpowiadali—że z Polski. Tak samo dziewczęta wyjeżdżając do Danji na sezonowe roboty, taką nam wyrobiły opinję, że Polak to znaczy złodziej.

Że mi w tej Danji nie było dobrze, można zaraz z tego artykułu wywnioskować, było jednak jedno „bene“, t. j że mogłam sobie za wszystkie czasy użyć na pomarańczach i bananach. Były tak tanie, że za 1 kor. duń. t. j 2 zł. 40 gr. można było na straganie, na jakiejbądź ulicy kupić 30 bananów albo 30 pomarańczy! A daktyle—pięć razy tańsze niż u nas.

Co mnie najwięcej gnębiło w Danji, to szalona tęsknota za Ojczyzną i za rodziną już nie uwierzę, gdyby mi kto opowiadał, że mu się dobrze na obczyźnie żyje, jabym chyba umarła z tęsknoty, gdyby mi długo w Danji pozostać wypadło. Czytając Kurjera Krakowskiego, którego mi tam przysyłano musiałam sobie codzień popłakać, mimowoli łzy do oczu nabiegały na myśl, że jestem tu sama jak palec, tyle setek kilometrów oddalona od swoich Zobaczywszy jakąś podobną twarz pędziłam jak warjatka zobaczyć, czy to nie znajomy ktoś z Polski. Do tego stopnia tęskniłam, że zawsze po katolickiem nabożeństwie szłam do soboru rosyjskiego i choć nie rozumiałam, co tam mówili, ale zawsze zdawało mi się że jestem między braćmi Słowianami. (Nawiasem dodam, że za wycieczki do soboru ledwo, ledwo uzyskałam na Jasnej Górze rozgrzeszenie po powrocie.)

Może prędzej przyzwyczaiłabym się w Danji, gdybym mogła odwiedzać Polaków, ale i tego mi zabronili w Poselstwie, tłumacząc, że z tego mogłyby powstać złe następstwa dla szkoły polskiej. Mianowicie ponieważ robotnicy dzielą się na socjalistów i demokratów, więc gdybym poszła do rodziny socjalisty, demokraci nie posłaliby dzieci do szkoły, boby myśleli że nauczycielka jest socjalistką, gdyż jak w Niwaa robotnicy sami prosili o założenie szkoły polskiej, to w Kopenhadze uważali, że łaskę robią Poselstwu, że dzieci swoje do polskiej posyłają szkoły.

Zauważyłam, że ludzie na obczyźnie będący, lepiej rozumieją, co to ojczyzna, więcej kochają ją i nabierają pewnej godności narodowej niż rodacy mieszkający w kraju,—może zresztą i ci tamci jednako kochają Ojczyznę, tylko dopiero między obcymi jest sposobność tę miłość i przywiązanie do ziemi rodzinnej okazać. Z powodu tego, że zawsze porozmiewałam z Duńczykami po niemiecku, pytano mnie czy jestem Niemką, ale choć nie cieszymy się w Danji dobrą opinją, z dumą odpowiadałam już po duńsku, gdyż trochę się nauczyłam: „Jai er Pollâk (Jestem Polka) Jakże ucieszyłam się w kilka dni po przyjeździe do Kopenhagi, kiedy szukając, gdzieby można jeść obiady, weszłam do Węgierskiej Restauracji i kiedy po stwierdzeniu, że nie jestem Tyskier (Niemiec) tylko Polak, postawił kelner na moim stoliku postument z polskim orłem, na biało czerwonym sztandarze. Z tej radości, wstawszy, trzy razy wzniosłam do góry nasz kochany polski sztandar, mówiąc sobie po cichu: „Niech żyje Polska“—i choć przy sąsiednich stolikach mieli głupie i zdziwione miny, nic sobie z niczego nie robiąc, wpatrzona w nasze godło narodowe, ze słońcem w duszy, zasiadłam najspokojniej do obiadu. Temi oto wrażeniami chciałam podzielić się z kochanemi koleżankami, a na zakończenie dodam tylko; Bodaj się święciło nasze prawdziwe „Wszędzie dobrze, a w domu najlepiej.“

M. Ważanka.

Ze złotych myśli.

Tylko to, co czynisz dla drugich, czynisz naprawdę dla siebie.—

Ludzie tyle rzeczy niepotrzebnych czynią, mówią i myślą, że na potrzebne już im brak czasu.

Józef Świtkowski.



E. *Węglowska* V. kurs.

Wrzosy kwitną...

Odeszłam od reszty towarzystwa, które rozmawiając i śmiejąc się wesoło zbierało czarne lśniące jagody ożyn, i znalazłam się w głębi lasu. Chciałam być sama. Szłam wązkim parowem, którego strome zbocza tonęły w gęstwinie. Przed oczami mojemi stał las w całej swej pysznej jesiennej krasie. Poważny, królewski stał ozłocony łagodnemi promieniami słońca i marzył. Opowiadał cicho... i jakiś smutny czar był w jego szumie, jakaś tęsknota. Czasem zabrzmiał potężnym akordem i znowu cichnął... zamierał... aby po chwili wybuchnąć nową pieśnią skargi... Szłam powoli przed siebie zasłuchana i wzruszona do głębi. Wąwóz piął się w górę. Pod nogami szeleściły mi liście opadłe z drzew, takie cudne, a takie smutne... umarłe liście... Słońce zaglądało ciekawie przez zielone sklepienie, rzucało złote promyki na barwny kobierzec liści i umykało, aby dalej znowu zajrzeć w mroczną tajemną głąb. Wyszłam parowem na górę, gdzie się las kończył. Minąwszy ostatnie drzewa, stanęłam zdumiona. W powodzi słonecznych blasków nurzało się pole różowo-liljowych wrzosów. Nad niem brzęczały roje muszek i chmara pracowitych pszczół. Coś rozleniwiającego było w tym monotonnym brzęku, coś przepięknego w całym krajobrazie. Był to ostatni jasny uśmiech lata—odtąd miała jesień słać swoje ciche, blade i smutne uśmiechy... Usiadłam na skraju lasu wsłuchana w brzęczenie owadów, w szum lasu, wpatrzona zachwyconemi oczami w pławiące się w złotych promieniach wrzosowisko... Udzielał mi się wiejący od niego i drżący w powietrzu senny czar... Czasem nastrój przerywał płynący z lasu śpiew, jakiś okrzyk głośniejszy zabrzmiał w przestrzeni i milkł.—I tylko przyroda gwarzyła, a ja słuchałam, patrząc na różowo-liljowe, gwarem pszczelim rozdzwonione wrzosowisko...

L. Lachowska II kurs.

Jesień.

Szmer liści opadających z drzew
Jesienny szumi śpiew,

Zapach zoranych świeżo ról
Idzie od pustych pól;

Ponad łąkami stoją mgły,
Na trawach skrzą się łzy

Srebrnych, już zimnych ros.
W powietrzu słychać głos

Żórawi — lecą w kraj słońca żyć!
Pajęczyn srebrna nić

Błyska. Padają liście z drzew,
Szumiąc ostatni śpiew...

S. W. Glewiec.

Kościół św. Bernardyna Sieneńskiego w Grybowie.

Idąc w Grybowie ze stacji ku rynkowi, zauważyć można stojący nad rzeką Białą stary, drewniany kościółek św. Bernardyna.

O powstaniu tego kościoła ludność tamtejsza opowiada następującą legendę: Podczas gwałtownej burzy wezbraną rzeką Białą przypłynął duży obraz św. Bernardyna i zatrzymał się w okolicy Grybowa w lasku. Gdy obraz zabrano, wrócił na to samo miejsce. Widząc w tem wyraźną wolę bożą, ludzie wykarczowali drzewa i w miejscu, gdzie obraz znaleźli, zbudowali kościół, obraz zaś umieścili w wielkim ołtarzu.

Rok zbudowania kościoła nie jest pewny. Na wieżyczce umieszczono datę 1383, źródła natomiast podają rok 1445. Kościółek był kilka razy odnawiany, ostatni raz w 1865 roku. Wejście główne w ścianie zachodniej jest jedyną zachowaną częścią pierwotnej budowy. Są to podwójne odrzwia bliźnie z bali drewnianych o formach późnogotyckich. Słup środkowy i boczne węgary okryte są rzezanym w drzewie napisem gotyckim w dwóch a nawet częściowo w trzech wierszach. Litery są duże, a tło między literami wybrane na parę milimetrów, technika wyrzynania płaska. Napis miejscami jest nieczytelny.

Węgar po prawej stronie zepsuty od dołu, podstawiono kawałkiem drzewa. Kruchta, ochraniająca odrzwia ma kształt niskiej drewnianej budy, dostawionej do zachodniej fasady kościoła. Pułap jej jest malowany żywemi kolorami w rozety, meandary i liście stylizowane, umieszczone w figurach geometrycznych. Na białem tle barwa niebieska, pomarańczowa i czerwona tworzy wzór. Na środku pułapu kruchty znajduje się duże koło, a w niem wizerunek Zbawiciela Świata, pojęty w sposób bizantyńsko-ruski. Dawniej w kruchcie znajdowały się okazy malarstwa cechowego XVI wieku, pochodzące z tryptyków, mianowicie obrazy św. Zofji św. Anny samotrzeciej. Dziś, odnowione—są na plebanji. Wnętrze kościoła składa się z nawy i prezbiterjum. Drewniany pułap i ściany ozdobione są polichromją z której pozostały zaledwie resztki.

Kościółek św. Bernardyna zazwyczaj stoi osamotniony, jedynie 20 maja wierni z całego powiatu tłumnie napełniają wnętrze i cmentarz kościoła, uroczyście obchodząc dzień świętego patrona.

Romankówna V. kurs.

Wrażenia z pierwszej hospitacji.

Ku naszej ogólnej radości miałyśmy pierwszą hospitację w I klasie szkoły powszechnej.

Oddawna marzyłam, żeby być na takiej lekcji i często zastanawiałam się nad tem, jak ona będzie wyglądać. Przyszłyśmy dość wcześnie do szkoły, aby zaobserwować zachowanie się dzieci przed rozpoczęciem nauki. Dzieci zaczynały się schodzić i zajmowały w klasie swoje miejsca. Widać było, że nie były swobodne: krępowała je nasza obecność. Siedziały zupełnie spokojne. zaledwie czasem któraś z dziewczynek roześmiała się, pozatem główna ich uwaga na nas była zwrócona. Po upływie kilku minut czułam, że między nami a niemi nastąpiło zupełne porozumienie!

Zaczęła się lekcja. Prowadziła ją nauczycielka w taki sposób, że dzieci zachowywały się swobodnie, odpowiadały szczerze i okazywały ogromne zainteresowanie. Lekcja języka polskiego łączyła w sobie oprócz właściwej nauki czytania—rysunki, rachunki i gimnastykę.

Że dzieci nie były jeszcze do karności szkolnej przyzwyczajone, widać było ze wszystkiego. W czasie czytania katalogu nie znały swych nazwisk, pytane—odpowiadały, siedząc. Gdy Pani narysowała na tablicy Misia, jedna z dziewczynek głośno się odezwała: „proszę pani, jedno oczko jest za cienko napisane!“ Na pytanie, jakie dziewczynki siedzą w I ławkach, odpowiedziały—mniejsze, jakie w ostatnich—większe, a jakie w II ławkach? Na to pytanie jedna z dziewczynek odezwała się „średniawe!“

Lekcja na ogół ogromnie mi się podobała. Kiedy dziecko powiedziało coś niedorzecznego, nauczycielka nie ganiła a wyzywała do odpowiedzi inne. Wszystkie dzieci brały żywy udział w lekcji. Wpatrywały się w nauczycielkę, jak w obraz, w całej klasie panował nastrój miły.

Zazdrościłam nauczycielce jej szczęścia—widziałam, że dzieci ją lubią, już są do niej przywiązane. Chciałabym, żeby kiedyś takie małe szczere serduszka i mnie obdarzyły zaufaniem i prawdziwą miłością i mnie tak prosto, szczerze i otwarcie na każde pytanie odpowiadały.

J. Furtakówna IV kurs.

Sprawozdanie z kółka artystycznego.

Podobnie, jak w latach ubiegłych, istniało w zakładzie i w tym roku kółko artystyczne, prowadząc dalej rozpoczętą pracę. Zebrania odbywały się raz w tygodniu, aby w szeregu referatów lub pogadanek zaznajomić członków koła z ruchem artystycznym w dobie obecnej, omówić ważniejsze epoki historji sztuki, zająć się tak ciekawym a naiwnym przemysłem ludowym.

W bieżącym roku szkolnym przerobiłyśmy z tematów ogólnych: Budownictwo świeckie epoki gotyku. Architekturę renesansu.
Malarstwo włoskie i rzeźbę włoską do XVI. w. Malarstwo i rzeźbę niemiecką do XVI. w.

Ze sztuki polskiej: Głowy z sali poselskiej na Wawelu, Gmach Bibljoteki Jagiellońskiej w Krakowie. Malarstwo ścienne i sztalugowe średniowieczne. Codex picturatus Behema.

Miniatury Biblji hebrajskiej XIV. w. Jan Polak, Dürer w Polsce, Pergaminiści i papiernicy krakowscy XV. w. Różnice i ich architektura, Budownictwo drzewne.

Z monografji lub tematów aktualnych:

Mierzejewski, Brandt, Noakowski, Szukalski. Dziesięciolecie malarstwa polskiego, Artyści polscy w Rzymie, Drzeworyty ludowe, Tkaniny ludowe. Malarstwo ludowe na Żmudzi, Kobierce wschodnie, Estetyka maszyny, Współdzielnia „Ład".

Jedno z zebrań było nadzwyczaj interesujące. Członkowie Koła podzielili się na dwa „wrogie" obozy, żywo dyskutując nad wystąpieniem w Krakowie artysty Szukalskiego. Sprawa ta, która tak żywo poruszyła opinję naszego miasta, i w naszem kółku żywem odbiła się echem.

W krótkich słowach streściłam działalność naszego kółka, pragnąc zachęcić koleżanki do wstąpienia w szeregi jego współpracowniczek. Gdyby wiedziały, jak miłą jest ta praca—nie wahałyby się poświęcić tej jednej godzinki tygodniowo, którą my tak przyjemnie i korzystnie spędzamy.

Z. Burzyńska IV. kurs.

Do wszystkich koleżanek.

Z początkiem ubiegłego roku założony został w naszem Seminarjum sklepik z przyborami szkolnemi. Zdawało się, że wszystkie uczennice z ochotą doń pospieszą, że będzie dla nich punktem honoru popierać organizację własną, że przyczynią się do jej utrwalenia i rozszerzenia.

Tymczasem z wielkim nakładem pieniężnym nagromadzony materjał nietylko nie został w kilku miesiącach rozsprzedany, ale prawie nietknięty jest dotychczas. Zamiast spodziewanego dochodu sklepik przyniósł deficyt.

Pomyślcie, koleżanki, jak mało potrzeba, aby się rozwinął. Niech każda z Was na początku roku szkolnego kupi 3—4 zeszyty, blok rysunkowy, ołówek, pióro, bibułę—do końca września już będziemy mieć dochód, który przeznaczony jest na tak dla Was samych potrzebną rzecz: na kolonje wakacyjne!

Cena zeszytów w sklepiku naszym nie jest wyższa, jak gdzieindziej, jeżeli zaś w wyjątkowych wypadkach musiałybyście za cokolwiek o parę groszy więcej zapłacić, to przyczynicie się do powiększenia funduszów kolonji naszej.

Zapewne wiecie, że sklepik zaopatrzony jest w zeszyty wszelkiego rodzaju i gatunku, obsadki, ołówki, pióra struny, widokówki i papier pakunkowy.

Sklepik otwarty jest przed rozpoczęciem nauki, na każdej pauzie i po skończonej nauce. Popołudniu zaś codzień podczas jednej pauzy.

Jestem przekonana, że teraz sklepik nie będzie tylko ostatnią „deską ratunku“ przed szkolnem zadaniem a stałym dostawcą wszystkich przyborów dla wszystkich koleżanek.

H. Papińska

Kronika.

W dniu 4 lipca odbył się (po raz pierwszy w naszym zakładzie) zjazd dawnych uczennic, które dotrzymały danego sobie słowa i po 5 latach spotkały się w murach szkolnych. Nie wszystkie przybyły — niektóre los rzucił w bardzo dalekie strony, inne choroba w domu zatrzymała, kilka śmierć zabrała z tego świata. Szesnaście koleżanek, którym warunki pozwoliły uczestniczyć w zjeździe, po nabożeństwie i serdecznem przemówieniu księdza profesora, zebrały się w jednej z sal zakładu, gdzie w zastępstwie nieobecnego z powodu choroby p. Dyrektora powitał je p. prof. Ziemski. Parę godzin przeszło na pogawędce z członkami grona nauczycielskiego.

Każda z koleżanek opowiadała o swych losach i przeżyciach, o zamiarach i dążeniach. Nastrój panował serdeczny, nić wiążąca je między sobą wzmocniona. Opuszczając mury zakładu, uczestniczki zjazdu podpisały adres do pana Dyrektora, poczem udały się na wspólne śniadanie. Resztę dnia wypełnił z góry zapowiedziany i ogłoszony program.

Tegoroczna kolonja wakacyjna trwała od 5 lipca do 28 sierpnia. Warunki, w jakich nasze koleżanki spędziły lato, były tak znakomite, że wyniki letniego wypoczynku przedstawiają się wspaniale. Najwymowniej świadczy przyrost na wadze szczęśliwych koleżanek, każdej przybyło od 3 do 12 kg.!

Zapisujmy się wszystkie do naszego Towarzytwa Kolonij Wakacyjnych!

Od Redakcji.

Do druku przyjmowane będą artykuły podpisane nazwiskiem autorek. Sam pseudonim nie wystarcza.

Nakładem Uczennic Prywatnego Seminarjum Naucz. Żeńsk. T. S. L im. Fr. Preisendanza

Wyd. i odp. redaktor Jadwiga Brodowiczówna.
Redakcja i Administr: Kraków, Groble 7.

Drukarnia Fadena w Myślenicach. — Telefon Nr. 2o.